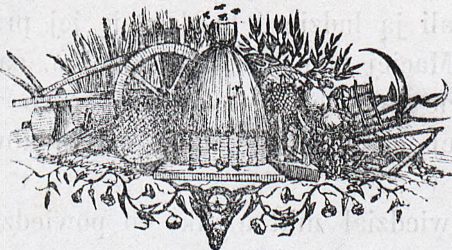
Tom XII. Nr. 4.
1. lutego 1865.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

GROMNICA.

We wsi Majowce był gazda Kuba Kołek, ale to gazda pobożny, pracowity, dla całej gromady plenipotent co się zowie, ale miał on też i główkę nie makówkę, a w tej główce rozumu więcej niż w beczce oleju. Co jeno gromada miała dobrego, że tam była szkoła, że się zgodzono z dworem o pastwiska pięknie i ładnie, że były wszędzie dobre mostki i drzewka koło drogi, że były drogi wysypane piaskiem, że wszystkie sprawy odbywały się w chałupie u wójta a nigdy w arendzie, że nie było muzyki w święto na wsi, że był porządek jak się patrzy, co jeno dobrego było, to wszystko zrobił rozumny i pobożny plenipotent Kuba Kołek.

Ale na każdego jest godzina śmierci i sąd Boży! otóż przyszła ostatnia godzina i na Kubę pobożnego. Cała wieś obstąpiła chałupę, a kiedy się Kuba wyspowiadał i już był konający, podano mu do prawej ręki zapaloną gromnicę, a ludzie poklękli i mówili paciorek za jego duszę, bo go bardzo szanowali dla jego rozumu i pobożnego życia. Gdy Kuba

pomarł, wyjęli mu gromnicę z ręki, a była to gromnica na jakie półtora łokcia długa, a biała jak śnieg i dopiero łońskiego roku poświęcona, a Kuba dopiero pierwszy miał ją konający w ręce. Oglądali ją ludzie i bardzo się jej przypatrywali, aż stryjeczny brat Maciej tego pomarłego Kołka, zapytał się ludzi:

— A wiecie wy też moi drodzy! poco to są gromnice prawie w każdej chałupie u katolików Polaków i kto to tak ustanowił?

Na to nie wiedział nikt a nikt co powiedzieć, aż Maciej, co to był piśmienny i schodził się zawsze co niedziela z profesorem i czytali sobie tam różne gazety i stare książki, odezwał się i powiada:

— Widać! że mało macie ciekawości do nauki, bo nawet o świętych rzeczach nie możecie nic dobrego pogadać, otóż o gromnicach święconych ja wam tu opowiem co nieco:

— Przed narodzeniem Pana Jezusa mieli żydzi prócz 10 przykazań bożych i jeszcze inne przykazy, nawet co do nabożeństwa. Otóż kazał im Bóg przez Mojżesza taki zwyk na zawsze zachować, aby każda matka po narodzeniu małego dziecka nie ważyła się z chałupy zaraz wychodzić, jeno musiała ona dobre pięć niedziel w chałupie cicho koło dziecka siedzieć, a dopiero czterdziestego dnia miała pójść do kościoła z małym chłopaczkiem i tam dawała na ofiarę Bogu, na co ją było stać — jak była bogata to ofiarowała baranka, a jeżli uboga, to dała dwa gołąbki, a jak się to ofiarowało Bogu, to matka klęczała i trzymając synaczka na rękach, modliła się do Boga, dziękując mu za zdrowie i życie swoje i dziecka i prosząc Go o dalszą łaskę, a najbardziej o to, aby Bóg dopomagał wychować to dziecko pobożnie, w dobrej nauce, w dobrych przykładach na człowieka, jak się patrzy.

Ale jedna gazdzina przerwała to gadanie Macieja i powiada mu na to:

— A gdzieby ta która dobra gospodyni wytrzymała aż pięć niedziel w chałupie przy dziecku bez wychodu na świat boży!

A mądry Maciej tnie jej do razu:

— To też bardzo dużo matek idzie marnie z tego świata, a dzieci zostają sierotami przez to, że matki polskie nie uwa-

żają na ten przykaz starodawny, jeno się zaraz zrywają do roboty, to też nie jedna umiera przez to, a drugie chorują zato całe życie. A cóż ci po wszystkiem, jak ci Bóg zabiera zdrowie dla tego, żeś nierozumna i nie chesz usłuchać Boga? Raz uchodzi to nie jednej matce, jak się prędko zerwie z pościeli, ale drugi raz przepłaci to chorobą, a może i śmiercią!

A wszystkie gospodynie kiwnęły głowami na to:

— Oj! co prawda, to prawda! ta choćby jedna i druga matka nie potrzebowała leżeć aż pięć niedziel, to koniecznie powinna cicho leżeć i nie zrywać się do żadnej roboty choćby jeno jakie dziesięć dni.

A Maciej mówi na to:

— Na upartego nie ma kija ani prawa! Ale miarkujcie sobie to dobrze, że sama Najświętsza Panna, ta matka wszystkich ludzi, dała dobry przykład wszystkim matkom, bo ona po narodzeniu Pana Jezusa dopiero czterdziestego dnia zaniosła go na swych rączkach do kościoła i tam ofiarowała Bogu, na co ją było stać. Toż na tę pamiątkę wieczną, jak to Najświętsza Panna usłuchała sama przykazu bożego i dopiero za pięć niedziel wyszła z domu pierwszy raz do kościoła, mamy też wielkie święto na zaczątku lutego, co się zowie: Oczyszczenie Najświętszej Panny, a u nas Polaków po naszemu zowie się: Gromniczną. Otóż ta Gromniczna Najświętsza Panna jest nam pamiątką pobożną, jak to była Najświętsza Panna z maleńkim Jezuseczkiem na ofiarę w kościele a potem jest dla wszystkich matek nauką, aby szły za przykładem Najświętszej Panny i uważały na przykaz boży, by nie leciały zaraz po narodzeniu dziecka i po chrzcie św. za kilka dni na wywód do kościoła, ale aż będą zupełnie zdrowe i mocne, aż dopiero gdzie w pięć albo cztery niedziel po chrzcinach.

Ale zapytał się jeden gazda:

— A gdzie to stoi zapisane, że dopiero w pięć niedziel była Najświętsza Panna z Panem Jezusem na ofiarę w kościele?

A Maciej gada:

— To stoi w św. Ewanielii, co się czyta na Gromniczną na wyrozumienie dla każdego — bo rachujcie sobie w głowie dobrze, to macie od 25. grudnia kiedy było Boże Narodzenie,

aż do 2. lutego, kiedy przypada Gromniczna, akuratnie jak uciął czterdzieści dni, a znowu te czterdzieści dni to cały miesiąc i jeszcze z drugiego dziesięć dni, toż wypadnie pięć niedziel całych! Otóż macie jak na dłoni, że Bóg przykazał matkom aż wtedy chodzić do wywodu z małemi dziećmi, kiedy będą zdrowe i mocne, a jaka to mądrość i dobroć Boża w tym przykazie, to każdy namaca jak palcem na stole, bo to przez czterdzieści dni to i każda matka może się wywczasować i wzmocnić, a znowu i jej dzieciątko umocni się tak, że wychód do wywodu nie zaszkodzi ani jednemu, ani drugiemu. Ale uważcie i to, jaki to grzech mają te matki, co to lecą, czy źle czy dobrze na świecie, zarasieńko po chrzcie św. na wywód i nie raz giną same a przez nich ginie i niejedno dzieciątko, a one nie wiedzą, że to za to trza kiedyś odpowiadać na sądzie bożym.

Potem zapytał Maciej:

— Ale kto mi z was zgadnie to, dla czego to święto Oczyszczenia Najświętszej Panny i ofiarowania Pana Jezusa, kiedy miał już pięć niedziel, zowie się u nas Gromniczną?

Na to powiada gazda jeden tak:

— Bo się święcą gromnice w ten dzień i święcą się przy mszy prawie całą mszę.

A Maciej powiada:

— Ale z jakiej to racyi wzięły się takie duże świece woskowe, co się zowią gromnicami, u nas Polaków?

Na to gazda jeden rzecze:

— Wy tam mój Macieju! grzebiecie w pismach po same łokcie, to znacie to wszystko, toż nam to opowiedzcie, a my was posłuchamy.

Maciej jął tak opowiadać:

— Otóż jest u naszego profesora książka, gdzie stoi opis o tych gromnicach taki:

W mieście Rzymie, gdzie siedzi Ojciec św., byli dawno poganiska, co to nie znali Boga naszego, jeno mieli tyle Bogów, ile rzeczy na świecie. A między nimi żyli tam już i bardzo pobożni Chrześcianie, o wiele lepsi od nas. Toć głuptaki poganiska broili różności, bankietowali, zbytkowali i grzeszyli tak, że tam była u nich Sodoma straszna, a grzeszyli

w całym roku najbardziej ku końcu miesiąca stycznia i na początku lutego, bo to o tym czasie były u nich jakieś święta weselne i rozpusty różne, nito nasze ostatnie zapusty. Na te zbytki patrzyli się pobożni Chrześcianie — ale aby nie mieli pokusy żadnej do pogańskich zbytków i do pijatyki i obżarstwa wielkiego, toż Ojciec św. ustanowił takie nabożeństwo, by wszyscy Chrześcianie szli z procesyą i gromnicami i spiewali sobie pobożne pieśni i to w te dni, kiedy poganie najbardziej dokazywali i grzeszyli po mieście i w chałupach. A jak się poganie potem upamiętali i dali się ochrzcić, toż to nabożeństwo z procesyą i gromnicami zostało potem dodane do święta: Oczyszczenia Najświętszej Panny. A znowu jak się Polacy chrzcili za królów polskich: Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego, to dał Ojciec św. całe nabożeństwo dla Polaków, a wtedy dostali nasi dziadkowie i Gromnice i mamy to święto w całej Polsce jakie od tysiąca lat.

A gazdowie podumali na to i mówią:

— Aha! to to od tych święconych gromnic, co my Polacy dajemy święcić i przez całą sumę święcimy, zowie się to święto Gromnicami — a pono i procesya koło kościoła w to święto z gromnicami jest na tę pamiątkę dawną, jak to pobożni Chrześcianie zabawiali się z Bogiem wtedy, kiedy poganie zbytkowali.

A Maciej dodał:

— To prawda! a dla nas Polaków przypadają Gromnice co rok w zapusty na to, abyśmy i w zapusty nasze polskie mieli Boga na pamięci i nie upijali się, ani objadali w te dni, ale mieli dobrą zwagę i dobre na myśli, a pamiętali sobie dobrze, że trza stanąć na sąd boży i że trza tak umierać z gromnicą w ręku, jak pomarł nasz plenipotent Kuba Kołek.

A gazdowie ciekawi pytali zaraz:

— A na co to jest prawie w każdej polskiej chałupie gromnica i chowają to ludzie do skrzyni nito jakie świętości?

Maciej im na to w ten sens:

— Gazdowie polscy mają w domu święcone ziele, którem kadzą bydło i dają pić choremu wodę wygotowaną z niego; mają święconą palmę, która palą w izbie, jak mocno grzmi i łyska się, tak też mają i te woskowe duże świece poświęcone,

które zaświecają wtedy, kiedy pioruny i grzmoty biją z nieba i temi świecami bronią się przed gromem, toż i ztąd te świece zowią się gromnicami nito świece przeciw gromom — a w końcu jak jaki Polak katolik kona, to mu podają do prawej ręki tę gromnicę na znak, że on wierzył w Boga i Pana Jezusa, że żył podług nauki jego, która jest światłością niebieską i tak z Bogiem chce umierać. Ale gązdowie są nie raz żabobonni i myślą, że samo ziele, że palma albo gromnica poświęcona ratuje od choroby, od ognia i od przypadku jakiego, a to przecie tak nie jest, bo jeno Bóg sam może to zrobić, a ludzie przez wiarę i ufność w Bogu i przez modlitwę i swój ratunek mogą otrzymać od Boga pomoc potrzebną. Ziele ma moc ratowania jeno od Boga i przez Boga, palma i gromnica święcona ma moc ochronienia od piorunu, ale jeno przez Boga — kto też pije zioła w chorobie i prosi Boga o zdrowie to mu Bóg da zdrowie, jak tego jest wart; tak też kto się kadzi dymem z gromnicy, kiedy go guziska owalą i prosi Boga i ratuje się, gdy gromnica sama nie pomaga, to mu Bóg da zdrowie, jak tego wart, albo kto kona z gromnicą w ręku ale ma żal za grzechy i spowiada się, komunikuje i krzywdę naprawi i podaruje urazy, to takiemu i gromnica da lekki skon i dobrą śmierć i zaprowadzi duszę jego do jasności wiecznej. Otóż gromnica powinna być u każdego gazdy polskiego jako rzecz święta i z boską pomocą pożyteczna na niejedno złe.

A gazdowie polscy powinni także święte rzeczy poszanować, w skrzyni albo na półce trzymać, a najlepiej nad łóżkiem w głowach, bo tak robili i nasi dziadkowie, oni patrząc na gromnicę w głowach pamiętali wstając i legając na śmierć i na sąd Boży i krzątali się koło wszystkiego dobrego, żyli z Bogiem i umierali z Bogiem, jak też rodzili i chrzcili się z Bogiem.

A gazdowie na to wszystko:

— No! to już teraz rozumiemy dokumentnie, że to święto 2. lutego jest pamiątką pobożną, jak to Najświętsza Panna była na wywód z maleńkim Jezuskiem, co był wtedy starszy nad miesiąc cały i jak to ona ubożuchna ofiarowała jeno gołąbki, a na baranka nie było ją raz jeden stać — a potem znowu

przyszła do tego później jakie czterysta roków pamiątka od Ojca św. aby była procesya z gromnicami w mieście Rzymie i po innych miastach na to, aby chrześcianie nie mieli pokusy do grzechów, które poganie w te dnie wyrabiali — a znowu całe to święto nastało w Polsce już jakie od tysiąca lat i trwa do dziś między pobożnymi Polakami. A teraz dziękujemy wam Macieju za naukę, daj Boże odpłacić wam to dobrem słowem a może dobrym uczynkiem. Zostańcie z Bogiem a dajcie znać o pogrzebie Kuby, to za darmo pójdziemy z brackiem światłem bo to był dobry i pobożny gazda, a jaki plenipotent to szukać!

I rozeszli się gazdowie, a ja wam ich pogadankę wypisuję do Dzwonka, bo wiem, że się niejednemu na coś dobrego przyda.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Bóg da!

Ucz się w szkole i kościele,
Nie pożałuj radom ucha,
Czytaj książek dobrych wiele,
Kształć bożego w sobie ducha,
Abyś poznał wszystko przecie,
Co się wiedzieć zda
Na tym wielkim, bożym świecie:
A Bóg rozum da!

Kochaj Polskę naszą miłą,
Świętą naszych ojców ziemię,
Gdzie od wieków z Bogiem żyło,
Nasze dzielne, polskie plemię!
Niechaj zawsze twoje serce,
O kraj szczerze dba,
By nie bywał w poniewierce,
A Bóg szczęście da!

Pracuj chwacko, nie pij wódki,
Nie przegniwaj dnia pod piecem,
Bądź roboczy, pilny, rzutki,
W gospodarstwie twojem kmiecem!
Pracuj w polu i oborze,
Póki dzionek trwa,
Ile ręka tylko może:
A Bóg chleba da!

Kochaj cnotę, módl się szczerze,
I bliźniego miłuj twego,
Trwaj przy świętej naszej wierze,
Zapomagaj ubogiego,
Zbrodni niechaj się nie tyka
Nigdy ręka twa,
Serce złości niech unika:
A Bóg niebo da!

Wojtek ze Smolnicy.

Piękne przykłady.

Mikołaj Michalewicz.

Rzecz którą wam dzisiaj zamierzyłem opowiedzieć, nie jest bynajmniej zmyśloną, jak różne historyjki ku zabawie służące, ale prawdziwą. Odczytanie jej powinno radość wam sprawić, najmilsi bracia, gdyż znajdziecie tu nowy przykład, jak to nauka z pomiędzy ubożuchnych ludzi wydźwiga człowieka na wysoki stopień znaczenia, a zapewnia mu poszanowanie i piękne imię zasłużonego krajowi człowieka.

Na pograniczu Podola galicyjskiego i Pokucia, nad rzeką Dniestrem, leży wieś Kopaczyńce, zamieszkała przez lud pochodzenia ruskiego. Wioska to nie wielka, ale pięknie zabudowana, a każde domostwo włościańskie ładnym otoczone sadem; nie braknie więc mieszkańcom dobrego owocu, ale owszem jest go zawsze obficie, nie tak jak po wsiach innych gdzie na nieszczęście sadownictwo bardzo jest zaniedbanem.

We wsi znajduje się drewniana cerkiewka, a przy niej proboszcz mieści się z żoną i dziatkami, opodal zaś uboga chałupka, w której mieszka diak, czyli spiewak cerkiewny.

Przed kilkudziesięciu laty dziedzic Kopaczyniec żwał się Bachmiński i mieszkał w pięknym dworze, bielutkim jak śnieg, od którego czerwony dach pięknie odbijał śród ogromnych lip, któremi dwór był otoczony, po za dworem ciągnął się wielki ogród wysadzany ulicami lipowemi, naprzeciwko dworu wznosiła się naówczas murowana kaplica, wystawiona przez dawnych a pobożnych właścicieli wsi, była też i druga na końcu jednej z ulic lipowych; w kapliczce tej znajdowało się wyobrażenie Pana Jezusa, wyrzezane z drzewa z cierniową koroną na głowie. Część ta ogrodu zawsze obfitowała w śliczne kwiaty, które szły na ozdobę ołtarzy cerkwi i obu kaplic.

Druga część ogrodu obfitowała w przeróżne drzewa owocowe, z których to najgłówniej korzystali włościanie, bo dawni dziedzice nie żałowali im młodych szczepków, a już taki zwyczaj od dawna we wsi panował, że każda para nowożeńców, zanim wzięła ślub, musiała zasadzić po cztery drzewka owo-

cowe w swym sadzie. Piękny i pożyteczny był to zwyczaj, a panował nietylko w Kopaczyńcach, ale w wielu częściach kraju, warto abyście go wznowili moi najmilsi przyjaciele.

Mój Boże jakże się od owego czasu w Kopaczyńcach zmieniło! Stary dwór chyli się ku upadkowi, piękne ulice lipowe jeden z późniejszych dziedziców kazał wyciąć i spalić w gorzelni. Lipy owe stukilkudziesięcoletnie, które cień i ochłodę dawały po pracy, poszły na ogień pod kotły, w których wypalano piekielny gorzałczany napój; kaplica murowana opustoszała, a miejsce ołtarzy, obrazów świętych, zajęły garnki z mlekiem, masło, sery a zamiast pobożnych modłów, rozlegają się klątwy niesfornej czeladzi.

Znać jednak Bóg opiekował się poczciwymi włościanami tej wioski, jako też i przyległej komisówki, bo chociaż w roku 1831 po całej okolicy cholera okrutnie grasowała, to ominęła obydwie wsie, a gdy po innych wsiach, a nawet w bliskiem miasteczku Czernelicy mnóstwo luda wymarło, to w obu wsiach powyższych ani jeden mieszkaniec nie zachorował.

Ale ja rozgadałem się o Kopaczyńcach, a zapomniałem zupełnie o Mikołaju Michalewiczu, którego żywot obiecałem wam opisać.

Ojciec Mikołaja, jak wam już opowiedziałem ubogi diak, miał oprócz niego, trzech jeszcze synów. Możecie sobie wystawić kochani bracia, jak trudno było biednemu słudze cerkiewnemu wychować czterech chłopaków, przy szczupłych dochodach i maleńkim kawałku gruntu, ale ów człek poczciwy ufał Opatrzności Bożej, która o najmniejszym robaczku myśli i miał nadzieję, że jego chłopaki nie zmarnieją, kochał ich jednakowo. Z pomiędzy jednak chłopców Mikołajka nieco nad innych przenosił, bo chłopczyna spokojny i potulny, nadzwyczaj wielką chęć do nauki okazywał; sam xiądz proboszcz dziwił się bardzo, że chłopiec w krótkim czasie nauczył się czytać i po polsku i na cerkiewnych księgach i pomagał ojcu w spiewie, a nie długo i piórem dobrze wywijał. Michalewicz miał wielką chęć posyłać syna do szkół, ale gdzież ubogiemu diakowi myśleć o oddaniu chłopca do miasta, gdzie zań mieszkanie i życie płacić, przyodziewę sprawiać i książki kupować należało.

Zdarzyło się pod ten czas, że pan Bachmiński wysełał synów swoich do Buczacza, kędy podówczas xięża Bazylianie dobre szkoły utrzymywali. Panicze a osobliwie dawniej wyjeżdżający do szkół miewali do posług chłopca, który im suknie czyścił, izby zamiatał i w piecach palał. Dziedzic właśnie miał posłać z synami parobczaka, a gdy się o tem Mikołajek dowiedział, rzekł do ojca:

— Tatku, pan dziedzic wysełа synów do szkół, a z nimi Iwasia, czybyście nie mogli jako zrobić, żebym ja z nimi pojechał?

— Więc się chcesz na fagasa kierować Mikołajku! — rzekł ojciec z gniewem — uprzykrzył ci się stan diaka i zamiast poczciwie zarobionego kawałka chleba, wolisz zlizywać półmiski i na pańskie frykasy ostrzysz zęby!

— O nie tatku, niechaj mię Pan Bóg broni od takiej myśli, ja dla tego chcę przyjąć służbę przy paniczach, abym mógł razem z nimi chodzić do szkoły w Buczaczu.

A stary pocałowawszy syna w głowę, rzekł:

— Nieźleby to było mój Mikołajku, tylko czy pan przystanie na to abyś razem z paniczami na jednej ławce siadał.

— Panicze daleko więcej umieją odemnie, więc pójdą od razu do wyższej klasy, a ja sobie zacznę od pierwszej.

— A gdy szkoły pokończą cóż wtedy będziesz robił? bo wiesz, że ja nie mogę na ciebie łożyć.

— Ej przecież do tego czasu tyle się nauczę, że potrafię na siebie zapracować.

— Ha, widno Pan Bóg natchnął cię tą myślą. Mikołajku, idę do dworu a może też i stanie się tak jak pragniesz.

Pan Bachmiński z chęcią na prośbę Michalewicza przystał, raz dla tego, że stary żadnych zasług od pana nie wymagał, tylko się przymawiał o starą suknię i niepotrzebne książki paniczom, powtóre że Mikołajek starszy od synów a stateczny, sto razy lepszym był dla nich sługą, aniżeli parobek, umiejący konie czyścić i zamiatać sień, ale nie paniczom usługiwać; zresztą Mikołajek nosił się z miejska, wolał więc takiego lokaja, aniżeli parobka, któremu dopiero należałoby suknie sprawić.

Wieleby o tem pisać trzeba, aby opowiedzieć z jakiemi trudami Mikołajek przechodził szkoły! Panicze jako młodzi a

swawolni nieraz mu dobrze nadokuczali. Często niedostawało biedakowi książek, papieru, czasem łokcie z rękawów, a palce z butów wyglądały, ale chęć do nauki przemogła te wszystkie trudności, a Mikołajek co rok do wyższej klasy przechodził; wreszcie pokończywszy szkoły w Buczaczu, a pracując usilnie, zdobył się na drogę do Lwowa, kędy umyślił dalsze nauki w akademii odbyć. Przybywszy do tego miasta, choć prawie bez grosza, nie stracił ufności w łasce Bożej i zapisał się na ucznia akademickiego. Profesorowie wkrótce poznali w nim wielką chęć do nauki i pilność niezmierną, a więc pomagali Mikołajowi jak mogli, to dając mu lekcye po domach w mieście, to znowu nastręczając roboty rozmaite. Tak więc w jednem miejscu za naukę chłopców miał mieszkanie, opał i śniadanie, w drugim obiad, w trzecim kilkanaście złotych, przepisywał innym studentom szkolne pisma, a tak mógł żyć a uczyć się dalej.

Całe dnie schodziły Mikołajowi bądź na lekcyach w akademii, bądź na nauce chłopców, to też nie mając czasu we dnie pracować dla siebie, większą część nocy przepędzał nad książkami.

W parę lat potem Michalewicz skończywszy filozofią we Lwowie, a widząc że mu jeszcze wiele nauki brakuje, zebrawszy nieco grosza z swej pracy i przy pomocy ludzi dobrych wyjechał do Wiednia, ażeby tam w wyższych doskonalić się umiejętnościach. Tu wkrótce szczęśliwym zrządzeniem znalazł opiekuna w szlachetnym hrabi Ossolińskim, który w Wiedniu był przełożonym nad cesarską biblioteką. Michalewicz nie posiadał się z radości, nietylko bowiem dostał od hrabiego dobre miejsce w bibliotece to jest: takim ogromnym zbiorze ksiąg, ale mógł z nich czerpać mądrość i doskonalić się w naukach.

Hracia Ossoliński był to pan wielkich cnót, człowiek bardzo rozumny, a wielkiego majątku nie używał na własne uciechy, ale na korzyść ziomków. Z wielkim mozołem i staraniem gromadził ksiąg mnóstwo, a wybudowawszy we Lwowie gmach, który po dziś dzień zowie się zakładem imienia Ossolińskich, umieścił w nich zebrane księgi, nakazawszy aby do nich przystęp był wszystkim wolny, aby wszyscy mający chęć do na-

uki mogli się tutaj kształcić, aby z tej wielkiej książnicy rozchodziło się światło na cały kraj.

Kustoszem czyli nadzorcą tego zakładu zrobił Michalewicza. Wkrótce staraniem hrabiego, syn diaka został pierwszym profesorem literatury polskiej w akademii Lwowskiej, gdzie dotąd nie uczono jej wcale; Michalewicz oprócz tego wydawał gazetę i był powszechnie kochanym i szanowanym dla głębokiej nauki i zacności wielkiej.

Przy takich zatrudnieniach i znacznych pensyach, przyszedł do wielkiej zamożności, ale mimo pracy i licznych zatrudnień, myśl o drogich rodzicach ciągle mu tkwiła w duszy, umyślił zatem pojechać do Kopaczyniec, aby nawiedzić staruszków, a szczęściem swojem z niemi się podzielić.

Skoro gruchnęła wieść po Lwowie, że zacny Michalewicz wybiera się do Kopaczyniec, wnet różni panowie i szlachta ofiarowali mu swoje powozy i konie dla odbycia podróży. Wymawiał się przez skromność Mikołaj, ale jeden ze znajomych panów, rzekł mu:

— Wielmożny kustoszu, tu nie idzie o to abyś się puszył z powozu i koni, gdyż wiemy że serce twe szlachetne, ma w pogardzie światowe parady, lecz powinieneś dla tego jechać powozem i czterema końmi do Kopaczyniec, aby lud wiejski widział jak to nauka wznosi człowieka wysoko, aby poruszeni twym przykładem nabierali chęci do nauki.

Powozem więc czterema końmi zaprzężonym jechał syn diaka do wsi rodzinnej, a gdy zbliżył się ku niej, zewsząd wybiegał lud i dziwił się niezmiernie, dowiedziawszy się, kto tak wspaniale jedzie do Kopaczyniec.

Nakoniec powóz wjechał do wsi, środkiem drogi szła jakaś stara niewiasta schylona, pod brzemieniem ciężkich wiader z wodą; stangret krzyknął na nią aby się usunęła, a gdy to uczyniła i ustąpiwszy na bok, patrzyła z ciekawością kto jedzie; nagle Michalewicz zawołał na stangreta ażeby stanął i wyskoczywszy z powozu pochwycił konewki od starej niewiasty i nieść je począł.

— Co jaśnie pan robi? — zawołała zadziwiona staruszka.

— O moja matko! moja serdeczna matko, pozwól niech ja dźwigam te ciężkie wiadra z wodą, pozwól mi, bo ja jestem twój syn Mikołaj.

I postawiwszy wiadra, upadł jej do nóg, objął za kolana i całować począł.

A staruszka wybuchnęła takim płaczem serdecznym, że tłum ludzi co oboje otaczał, nie mógł łez powstrzymać i wszyscy płakali ze wzruszenia i radości.

O na takie łzy Bóg z rozkoszą z wysokiego nieba pogląda!

Po chwili Michalewicz wziął znowu wiadra, mimo oporu matki, a gdy lokaj w liberyi skoczył z za powozu i chciał go wyręczyć, Mikołaj rzekł:

— Odejdźcie Pawle, ja tylko mam prawo nieść wodę za moją matkę, ja tylko jej służyć powinienem.

Radości rodziców, przywitania się rodziny nie opisuję wam, bo moje pióro temu nie podoła. Powiem to tylko, że szlachta dowiedziawszy się o przybyciu Michalewicza i jego miłości synowskiej, wyprawiła wspaniałą ucztę, na której przy stole posadzono na najpierwszem miejscu rodziców Mikołaja, a wszyscy panowie cześć im jak największą oddawali.

Mikołaj dopomógł rodzicom, a braci swych tak pokierował, że jeden został proboszczem ruskim, drugi mający ochotę do wojska wyszedł na kapitana, a potem został urzędnikiem, trzeci nakoniec nie mający ochoty do nauki diakiem jak ojciec. Sam Mikołaj żył jeszcze długo piastując godność profesora, nakoniec umarł przed 16 czy 17 laty, kochany od uczniów, a szanowany od wszystkich rodaków.

Otóż drodzy bracia moi bierzcie przykład z zacnego Michalewicza, niech jego żywot i pomyślność do pracy, a miłość synowska i poczciwość do cnoty zachęca. On człowiek z biednego stanu, kość z naszych kości, najlepszym jest wzorem do naśladowania.

Wy dziś macie otwarte do nauki wrota; ukochajcie ją i kształćcie wasze dzieciny, a chowajcie je tak, aby was czciły i kochały jak Mikołaj czcił i kochał swoich rodziców!

Kazimierz Góralczyk.

Rady gospodarskie.

O pasiekach, sadach i chmielnikach.

Jednocześnie ze zmianą i poprawą gospodarstwa, nie można także zapominać o zaprowadzeniu pasiek i zakładaniu sadów, tem więcej, że jak w pierwszych, tak i w drugich lubowali się zawsze ojcowie nasi. Najtrudniej zdobyć się na jeden ul, ale nie stojak, nie pień, w którym pszczołom ciasno i niewygodnie, lecz na ul ulepszony, w którym pszczoły wydają co rok po kilka rojów z jednego, a miód cebrami wybiera — to jak Pan Bóg poszczęści, w krótkim czasie można dojść do kilkunastu takich ulów i z nich ogromnej się nawet pasieki dochować. Ul taki zaledwie kilka złotych kosztować będzie; warto więc niejednej potrzebie własnej odmówić, niejednej zabawy, chrzcin lub wesela się wyrzec, a zapomódz w pszczoły. Dobytek to, którego utrzymanie nic prawie nie kosztuje; sam bowiem zbiera sobie pożywienie na kwiatach i drzewach; za pracę zaś nie wielką, raczej zaś za pamięć i starania koło siebie, wypłaca się wielkiemi korzyściami.

Niemniejsze też pożytki przynoszą pod każdym względem sady, czyli ogrody owocowe; albowiem upiększają i ocieniają siedziby, które będąc jak dotąd ogołocone z drzew, smutno jakoś wyglądają, podobne więcej do pustek, aniżeli do mieszkań ludzkich; ochraniają pobudynki od ognia, wydają owoce, spożywanie których wpływa na utrzymanie zdrowia ludzkiego; brak zaś pobudza częstokroć do nadużyć, do kryjomej kradzieży i naruszenia cudzej własności; nakoniec zaś sprzedaż tychże owoców, czy to w stanie naturalnym, czy też suszonych, przynosi znakomite korzyści. Krom tego dla każdej gospodyni, która myśleć musi o wyżywieniu biednej dziatwy i czeladzi, jakąż to są podporą owoce surowe i suszone, z których zawsze można zgotować smaczne i pożywne jadło.

Chcąc więc dochować się sadów owocowych, najlepiej jest rozmnażać drzewa z nasienia, biorąc owoce z gatunków najlepszych, zdrowych i nie starych. Zebrane owoce po zgniciu, rozgniatają się na miazgę w jakiem naczyniu, a nasiona wypławione wodą, sieją się na żyznych i dobrze kopanych grzędach albo zaraz w jesieni, albo też pomieszane z cokolwiek wilgotnym piaskiem przechowują się w piwnicy aż do wiosny, i w tej dopiero porze zasiewają. Pokrycie przegniłym gnojem nasienia, przerzedzanie po zejściu, i kilkakrotne w pierwszym

roku pielenie, są konieczne. Na drugi rok obrzynają się boczne gałązki, a gruszkom i jabłoniom nawet wierzchołki po nad okiem najlepiej ukształconem, niezaniedbując także plewidła. W jesieni gdy liście opadają, a łepiej na wiosnę przenoszą się wykopane płonki do szkółki sadzonek, sadząc w rzędy o łokieć odległe. Najlepiej jednak przesadzać w trzeciej wiośnie, pamiętając aby nie uszkodzić bocznych cienkich korzonków, oraz żeby przed sadzeniem oderznąć gładko do połowy korzeń maciczny. Pieniek także przycina się z góry nie zostawiając mu więcej nad kilka oczek. Ziemię naokoło sadzonek obsypać szpilkami sosnowemi, jak się zielsko puści, okopać, a wilki palcami przycierać.

Przeniesione do szkółki sadzonek drzewka, następnie albo stosują, czyli kopulizują, a co najlepiej oczkują. Drzewa ziarnowe, t. j. grusze i jabłonie, zostawiają się zazwyczaj po uszlachetnieniu w szkole szczepów do szóstego lub siódmego roku, łatwiej się bowiem przesadzone potem przyjmują. Najpewniej udaje się przesadzenie, kiedy pnie dojdą grubości palca wielkiego; dopełnia się zaś w jesieni, lub co najlepiej na wiosnę w końcu marca i początkach kwietnia, na dwie do trzy stóp szerokie i takiejże głębokości; rozumie się w ziemi dobrej, liniami piętnaście do dwadzieścia łokci od siebie odległemi w położeniu ogrodu skośnem a naprzemian w położeniu prostem. W miejscach wyższych sadzić potrzeba grusze i wiśnie, w niższych jabłonie i śliwy.

Rozmnażając w ten sposób drzewa owocowe, nie tylko wprędce dochowamy się pięknych sadów, ale i drogi nasze nieocienione, na których latem kurz i spiekota do żywego dokuczają bydlętom i ludziom; — będziemy także mogli wysadzać temiż drzewami owocowemi. Wtedy nauczymy się oszczędzać i szanować młode drzewiny więcej niż dotąd, i nie będziemy pochopni do łamania onych, obdzierania z kory, wycinania na biczyska i t. p. A jakaż to miła i pożyteczna praca ogrodnika?... Warto więc szczerze przyłożyć ręki, by się nią za życia nacieszyć, a dzieciom i wnukom zostawić po sobie pamiątkę; kiedy bowiem już ani prochu z kości naszych nie będzie, oni patrząc na sady ręką ojców wypielęgnowane, nieraz wspomną sobie: te drzewa to mój rodzic jeszcze albo dziaduś sadzili.... a przy tem wspomnieniu, westchnąwszy szczerze do Boga, nieraz odmówią za spokój dusz naszych „wieczny odpoczynek.“

Dalej opowiemy wam w przyszłym numerku Dzwonka.

RÓŻNOŚCI.

Żołnierska sztuka Kiedy jeszcze było wojsko polskie, co to temu już dobrych trzydzieści lat górą, przymaszerowała jedna kompania do pewnego miasteczka. Tu się wojacy rozeszli po kwaterach, i wszystkim było dobrze po domach, jeno jednemu nie, co stal na kwaterze u żyda. Żydzisko wojakowi nie chciał ani mięsa porządnie uwarzyć, ani dać słomy świeżej na pościel — zgoła nic a nic. Wojaka gniew bierze okrutny, bo choć krzyczy i prosi, prosi i krzyczy, żyd ani rusz nie chce się poprawić. Widząc to tedy nasz wojak, że z żydem prostą drogą do końca nie trafi, taki sobie nareszcie sposób ucieszny wymyślił, bo już to żadnych gwałtów i termedyj nie chciał jako polski żołnierz wyrabiać.

Idzie sobie więc za miasteczko, wyszukał ogromnego koła dębowego, a potem umaczał ten kół w jatkach krwią z woła, wrócił pod swoją kwaterę i czekał, aż żyd przyjdzie. Gdy żyd był w izbie, wtedy nasz wojak wchodzi z kołem, stawia kół krwią zamazany w kącie, marszczy strasznie czoło, sroży okrutnie wąsy i ściskając pięści, tak mówi do tego kołu:

— Słuchaj ty kole dębowy! Jak ja powrócę, a nie będzie tu na stole przynajmniej kwaterki wódki, chleba z masłem albo z serem, a na obiad znowu rosołu, kawałka mięsa i jakiego dodatku, to ja ciebie znowu będę zmuszony tak bić, jak oto teraz z tobą zrobiłem, że krew z ciebie pociekła, a może cię i w kawałki o czyjś łeb potlukę!!

I nagroziwszy tak kołowi głośno wyszedł z izby. Żyd się okrutnie przeląkł na to straszne gadanie wojaka i biegnie do kapitana, skarżąc się na wojaka, że tak do kołu mówił. A kapitan mu na to:

— Kiedy tobie nic nie mówił, to co to ci szkodzi, niechaj on sobie kół bije!

— Aj! waj! prosię pana kapitan! — mówi na to żyd — a jak wun zechce bić kołem o mego glów, to wun mnie zabije!

Kapitan się uśmiechnął, bo pomiarkował cały figiel starego wojaka, i z jakiej to on beczki mądrze zaszedł żyda — a żyd widząc, że nic nie wskóra, przygotował i wódkę chleb z serem i masłem, i obiad zgotował, tak, że jak wojak wrócił do domu, już wszystko zastał, jak chciał. Żyd zaś prosił go tylko pięknie, aby wyniósł ten kół z izby, bo to nie po koszernemu, co też wojak z ochotą zrobił, a zajadając smacznie śmiał się w duchu z swego figla. Zaś ten wojak zwał się Jabłoński i był grenadyerem w wojsku polskiem, a wszyscy co w tem wojsku służyli pamiętają go dobrze. Był to tęgi wojak, jakich mało, zuch siarczysty, a mądral przy tem nie lada. Spłatał on mnóstwo takich ucieszny figlów, które my wam potem znowu opowiemy.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.